

ZOSTAWIENI NA LODZIE



PIESZA PRZEPRAWA PRZEZ BAJKAŁ

ZOSTAWIENI NA LODZIE



Jezioro Bajkał skute lodem – zimą grubość lodu sięga dwóch metrów



ZOSTAWIENI NA LODZIE

PIESZA PRZEPRAWA PRZEZ BAJKAŁ



Wstępne opracowanie tekstu: Judyta Skowrońska
Materiały dodatkowe: Ilja Boldakow
Projekt okładki i układu graficznego: Mariusz Bieniek
Redakcja, korekta i przygotowanie do druku:
PRE-TEKST Paulina Kielan
Skład: Mariusz Bieniek
Fotografie: Judyta Skowrońska i Artur Gorzelak
Obróbka zdjęć i opracowanie map: Mariusz Bieniek
Producent wykonawczy i wydawca: Artur Gorzelak

Copyright © Artur Gorzelak, 2018
Wydanie I

ISBN 978-83-950111-1-5

Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Publikacja została opracowana i wydana ze środków autora.

OD AUTORA

Minęło kilka miesięcy od premiery mojej pierwszej książki *W judodze na rowerze. Japońsko-koreańska przygoda na dwóch kółkach*. To dobry moment, aby podziękować wszystkim czytelnikom, a zwłaszcza tym od początku śledzącym i komentującym całe przedsięwzięcie.

Dziękuję za liczne rozmowy podczas spotkań promujących książkę, za pochwały i słowa krytyki, wsparcie oraz cenne rady. Pisanie i promocja książki były równie fajną przygodą jak sam przejazd rowerem przez Japonię

i Koreę. Dostałem od Was mnóstwo pozytywnej energii! Wasze zaangażowanie i pozytywny odbiór książki skłoniły mnie do napisania reportażu podsumowującego nasz kolejny wyjazd – tym razem na Syberię!

Judyto, dziękuję Ci przede wszystkim za to, że wspólnie możemy realizować najdziwniejsze pomysły podróżnicze. A także za to, że wspierasz mnie całkowicie w późniejszym podsumowywaniu wyjazdów w formie reportaży.



Młodzi judocy z Klubu Judo Mizu w skupieniu oglądają slajdy z wyprawy do Japonii

W POSZUKIWANIU NOWEGO WYZWANIA

Kilka miesięcy po moim powrocie z podróży po Japonii Radio Weszło FM przeprowadziło ze mną wywiad. Brzmiał on mniej więcej tak:

Dariusz Urbanowicz – redaktor Weszło.fm: Zona Urbana, Dariusz Urbanowicz, witam serdecznie. Dzisiaj rozmawiamy o takich dwóch tematach – jednym jest Japonia, drugim jest Syberia. Artur Gorzelak jest moim gościem. Dzień dobry!

Artur Gorzelak: Dzień dobry! Witam wszystkich słuchaczy!

D.U.: Temat pierwszy, o którym będziemy dziś rozmawiać, to podróż po Japonii od dojo do dojo, czyli trenowanie judo w różnych miejscach w Japonii, przemieszczając się na

dwóch kółkach. *W judodze na rowerze* – taki był tytuł projektu.

A.G.: Zgadza się.

D.U.: Pozwól, że na wstępie zmienimy jednak dyscyplinę. Pamiętam, że w kilka dni po powrocie ze swojej azjatyckiej wyprawy już zacząłeś szukać nowych wyzwań, miejsc, gdzie można wystartować, szukałeś kolejnych przygód. Rozumiem to, wiem, jak to jest wrócić po jakiejś fajnej ekspedycji. No i w końcu coś tam wybrałeś. Powiedz, na co się porywasz... (*śmiech*) bo wylatujesz lada dzień.

A.G.: Rzeczywiście, porywam się... może nie z motyką na słońce, ale bardziej na mróz. Wspólnie z dziewczyną zamierzamy przemierzyć tak zwane morze Syberii – pieszo

po zamrożniętym Bajkale prawie 400 kilometrów.

D.U.: Teraz?! Zimą?!

A.G.: Tak, tak. Start tego ultramaratonu zaplanowany jest na 1 marca, za dwa tygodnie.

Rzeczywiście, tuż po powrocie (a była to druga połowa października 2017 roku) z przygody mojego życia – przejazdu rowem przez Japonię i Koreę, podczas którego trenowałem judo – szybko zacząłem szukać nowych wyzwań. Powrót do pracy biurowej był mało atrakcyjny w porównaniu do możliwości planowania następnej próby sił. Oczywiście w pierwszej kolejności musiałem załatać dziurę w budżecie (była naprawdę solidnych rozmiarów – Japonia i Korea nie należą do tanich miejsc) oraz zaoszczędzić

kilka dni urlopu, który wyczyściłem w całości na azjatycką przygodę. Wspólnie z moją dziewczyną Judytą zaczęliśmy szukać ciekawych wyzwań sportowych odbywających się zimą na początku kolejnego roku. Szukaliśmy kilkudniowego eventu.

W zasadzie jednocześnie znaleźliśmy ultramaraton Rovaniemi 150. Jak można wywnioskować z nazwy, to wyścig organizowany w stolicy regionu Laponii (za kołem podbiegunowym). Obecnie organizator proponuje uczestnictwo w rywalizacji na trzech różnych dystansach do wyboru: 66, 150 i 300 kilometrów. Uczestnicy Rovaniemi 150 mogli poruszać się:

- ♦ pieszo (ciągnąc za sobą specjalne sanie, tak zwaną pulkę, na które załadowywano żywność, ubranie na zmianę, namiot

i w ogóle cały ekwipunek potrzebny do ukończenia trasy);

- ♦ na tak zwanym fat bike'u (czyli rowerze o dużo grubszych niż standardowe oponach, które nie zapadają się tak mocno w śniegu);
- ♦ na biegówkach.

Zaczęliśmy poważnie rozważać piesze uczestnictwo w tym wyścigu. Niestety, wyścig miał się odbyć bardzo niedługo. Zostało nam naprawdę niewiele czasu na przygotowania, a opłata startowa osiągnęła zatrważająco wysoką kwotę (zazwyczaj opłaty startowe rosną wraz ze zbliżającym się terminem startu i wynoszą najwięcej przed samym rozpoczęciem wyścigu). Co więcej, podróż na północ Finlandii nie należała do najtańszych. Cena zakwaterowania w tym terminie

w Rovaniemi również była horrendalnie wysoka. To zresztą nic dziwnego – Skandynawia słynie z niezbyt przystępnych cen dla turystów, zwłaszcza tych z naszej części Europy. Czarę goryczy przełała korespondencja z organizatorem przedsięwzięcia. Odpowiadał sucho, zdawkowo, nie chciał współpracować. Szybko stwierdziłem, że poszukamy jakiejś alternatywy, a wyjazd do Finlandii odłożymy na później.

Wtedy w Internecie znalazłem coś super-świeżego i, jak się wydawało, nieszablonego. Black Baikal Race – pierwszy ultramaraton zimowy w Azji! Całość biegu miała być poprowadzona po taflí najgłębszego, a także największego objętościowo zbiornika słodkowodnego na świecie – jeziora Bajkał, nazywanego także morzem Syberii. Brzmiało

BŁĘKITNE OKO SYBERII

Bajkał to najgłębsze jezioro na świecie (jego maksymalna głębokość wynosi 1642 metry). Żeby to przedstawić obrazowo – to tak, jakby postawić jeden na drugim dwa wieżowce Burj Khalifa (najwyższy budynek na świecie znajdujący się w Dubaju). Jest drugim co do wielkości jeziorem w Azji, a siódmym na świecie. Jego powierzchnia to 31 500 kilometrów kwadratowych, a więc mniej więcej 10 procent powierzchni Polski. Rozciąga się na długości 636 kilometrów i szerokości 79 kilometrów. To naprawdę potężny zbiornik wodny! Największym miastem w okolicy Bajkału jest Irkuck, położony nieco na zachód od jeziora, nad gigantyczną rzeką Angarą, mającą swoje źródła właśnie w „błękitnym oku Syberii”. W Irkucku żyje nieco ponad pół miliona ludzi.

to naprawdę nieźle! Mocno się podekscytowałem perspektywą takiego doświadczenia i byłem pewien, że zrobię wszystko, żebyśmy wystartowali w tym wyścigu. Judyta studziła moją gorącą głowę, czytając, jak ekstremalne warunki panują w tym czasie na Syberii, jakie osiągnięcia sportowe mają uczestnicy oraz organizatorzy biegu, a także faktem, że aby wziąć udział w tym przedsięwzięciu,

trzeba było przedstawić swoje sportowe CV. Metodą „salami” (plasterek po plasterku) zacząłem przekonywać Judytę, że przed podjęciem decyzji należałoby zebrać dużo więcej szczegółowych informacji o tym wydarzeniu. Nie chciałem przecież narażać nas bezsensownie na niebezpieczeństwo.

Wysłałem maila do organizatora wyścigu – Włocha Riccardo. Napisałem w nim,

że jesteśmy parą z Polski, która ukończyła kilkanaście maratonów i półmaratonów, ale uczciwie przyznałem, że nie mamy doświadczenia w ultramaratonach zimowych. Bardzo szybko dostałem odpowiedź. Była uspokajająca i wyważona, co wzbudziło moją sympatię i zaufanie. Riccardo przekazał nam kilka istotnych informacji.

Po pierwsze, że edycja Black Baikal Race 2018 ma mieć charakter przygody, nie wyścigu – grupa uczestników ma przejść wspólnie zakładany dystans, podziwiając piękno syberyjskiej przyrody. Podał nam nawet imiona uczestników, którzy mieliby towarzyszyć nam w wyprawie, służąc swoim doświadczeniem zebrany podczas innych prestiżowych zimowych ultramaratonów, między innymi na Alasce.

Po drugie całość wyprawy wydawała się już na tym etapie dosyć skrupulatnie zaplanowana. Otrzymaliśmy terminy startów z poszczególnych checkpointów (punktów kontrolnych), rozrys odcinków trasy do pokonania w kolejnych dniach wraz z profilem, mapki, adresy hosteli dla uczestników wyprawy, listę niezbędnego wyposażenia oraz kontakt do biura podróży, które mogło pomóc w zorganizowaniu wiz do Rosji. Wszystko wyglądało na dopięte na ostatni guzik.

Z wielką radością przyjęliśmy również zaproszenie na ultramaraton o nazwie Sila3Vette (tj. Bieg Trzech Szczytów) do Kalabrii (na samym końcu włoskiego „buta”) odbywający się pod koniec stycznia 2018 roku. Riccardo napisał, że będzie to świetna okazja do tego, żebyśmy poznali dużą część uczestników



Bezkres lodu Bajkału – lód i śnieg ciągną się po horyzont

ultramaratonu po Bajkale. Okazało się, że większość z 15 osób, które miały wystartować w Black Baikal Race 2018, pochodziła z Włoch i miała w planie także start w Biegu Trzech Szczytów. Przypuszczaliśmy, że spotkanie w Kalabrii miało być dla nas swego rodzaju testem – Riccardo chciał w ten sposób sprawdzić, czy podołamy wyzwaniu i bez zakłóceń dla grupy pokonamy prawie 400 kilometrów pieszo.

Postanowiliśmy potraktować bieg w Kalabrii jako świetną okazję i motywację do tego, aby przygotować się logistycznie i fizycznie

do wyprawy na Bajkał. Sila3Vette odbywał się miesiąc przed startem ultramaratonu po Bajkale – to wyśmienity czas, by sprawdzić w warunkach bojowych sprzęt i swoją kondycję fizyczną, a także wytrzymałość psychiczną podczas wysiłku w ekstremalnie niskich temperaturach. Umówiliśmy się też z Riccardem, że opłatę rejestracyjną prześlemy mu podczas naszego spotkania we Włoszech, więc zostawiliśmy sobie furtkę do wycofania się z tego katorżniczego wyzwania, gdybyśmy z jakiegoś powodu na miesiąc przed startem wyścigu zmienili zdanie.



Zakupioną odzież testowaliśmy najpierw w warunkach domowych

JAK PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA SYBERYJSKIE MROZY

Rozpoczęliśmy w prosty sposób. W Internecie zweryfikowaliśmy, jakie warunki atmosferyczne panują na Bajkale na początku marca. Ja jako optymista widzący szklankę zawsze do połowy pełną nie chciałem dać wiary, że w marcu (kiedy u nas pogoda czasami bywa już całkiem przyjemna) nad Bajkałem temperatury wynoszą od około minus 15 stopni Celsjusza w trakcie dnia do minus 30 stopni nocą. Przecież Irkuck, z którego mieliśmy rozpocząć wyprawę, leży niemalże na tej samej szerokości geograficznej co Warszawa. Nie sama temperatura stanowi jednak kluczowy czynnik. To silny wiatr sprawia, że odczuwalna temperatura jest dużo niższa. Jesteśmy ambitni, ale nie szaleni.

Takie warunki to nie żarty – stwierdziliśmy. Odpowiednie przygotowanie logistyczne to podstawa.

Przez dwa miesiące przed startem w zasadzie każdy nasz weekend wyglądał podobnie. Rozpoczynaliśmy go wizytą w sklepach ze sprzętem i specjalistyczną odzieżą sportowo-turystyczną. W wielu miejscach po kilku wizytach witano nas już hasłem: „O, to państwo z Bajkału”. Jak gąbki chłoniliśmy wiedzę o tym, na co musimy zwrócić szczególną uwagę, jakie tkaniny powinniśmy dobierać, ile par rękawiczek trzeba mieć na zmianę oraz jaki system butli gazowej jest najlepszy na takie (niemalże arktyczne) warunki atmosferyczne.

Od początku wiedzieliśmy, że nie będzie to tania wyprawa. Nie chcieliśmy też na siłę oszczędzać na produktach – w końcu od ich jakości zależało nasze bezpieczeństwo i zdrowie. Wraz ze wzrostem naszej wiedzy kwestia komplikowała się coraz bardziej, a lista rzeczy potrzebnych na wyjazd wydłużała, choćby przez fakt, że większość z nich z wielu względów musiała mieć backup.

Podstawową trudnością było ryzyko zawilgocenia. Suszenie rzeczy w temperaturze 30 stopni Celsjusza poniżej zera nie należy do najłatwiejszych. W takich warunkach, jeśli dorzuci się do tego wysiłek fizyczny, nie ma czegoś takiego jak uniwersalna garderoba. Inne rzeczy należało mieć na sobie podczas marszu, inne w trakcie postoju (w takiej temperaturze organizm szybko się wychładza,

więc należy wyposażyć się w dodatkowe ubranie postojowe), jeszcze inne w czasie silnego wiatru. Moje koleżanki z pracy, widząc zdjęcia z wyprawy, mówiły, że wyglądało to prawie jak rewia mody. Częste zmiany ubrań były jednak absolutną koniecznością, nie miały nic wspólnego z chęcią urozmaicenia fotografii. Fashioniści z nas raczej słabi.

Lista, którą stworzyliśmy, aby mieć pewność, że nie zapomnieliśmy o jakichś kluczowych rzeczach, wyglądała naprawdę imponująco. Gdy zobaczyliśmy tę listę w pełnej okazałości, stwierdziliśmy (z przymrużeniem oka), że jak już nabędziemy te wszystkie rzeczy, musimy zdobyć się na wspinaczkę na Mount Everest. Po dokupieniu butli z tlenem i czekaniu w zasadzie mielibyśmy kompletny ekwipunek na taką wspinaczkę.

NASZA LISTA

Rzeczy, które uznaliśmy za niezbędne:

- bielizna termiczna – 4 komplety,
- czapki (różna grubość, a także z windstopperami) – 6 sztuk,
- kurtki (do marszu, postojowa, przeciwwietrzna) – 6 sztuk,
- kominiarki i maski na twarz – 4 sztuki,
- rękawiczki (do marszu, postojowe, przeciwwietrzne) – 6 par,
- spodnie (do marszu przeciwwietrzne oraz ocieplane przeciwwietrzne) – 4 pary,
- skarpety – 8 par,
- plecaki z bukłakiem na wodę – 2 sztuki,
- kuchenka gazowa – 1 sztuka,
- gogle – 2 sztuki,
- czołówki – 2 sztuki,
- pulki – sanie, w których ciągnęliśmy bagaż – 2 sztuki,
- kijki do marszu – 2 pary,
- kolce do marszu po lodzie – 2 pary,
- nakładki gumowe na buty z niewielkimi kolcami – 2 pary,
- buty – 4 pary,
- polary – 4 sztuki,
- płachta biwakowa (zamiast namiotu) – 1 sztuka,
- karimaty – 2 sztuki,
- śpiwory (ze strefą komfortu do temperatury -30°C) – 2 sztuki,
- kompas – 1 sztuka,
- nóż – 1 sztuka,
- powerbanki – 2 sztuki,
- zapasowe baterie – 2 komplety,
- telefony – 2 sztuki,
- karty SIM – 2 sztuki,
- apteczka – 1 sztuka,
- koce ratunkowe – 2 sztuki,
- zapalniczka na gaz – 1 sztuka,
- zapalniczka sztormowa – 1 paczka.



Część sprzętu, którą musieliśmy zmieścić w naszych pulkach

Na szczęście zakupów dokonywaliśmy sukcesywnie i większość przedmiotów udało nam się nabyć w dosyć korzystnej cenie. Zakup tak pokaźnej liczby ubrań i sprzętu odbił się znacząco na naszym budżecie, jednak cały czas się pocieszaliśmy, że dużą część zakupionych rzeczy będziemy mogli wykorzystywać przez wiele kolejnych sezonów.

Nie obyło się też bez pomyłek, ale przy tak imponującej liście zakupów to absolutnie naturalne. Podczas jednej z wizyt w dużym sklepie sportowym zobaczyliśmy rakiety śnieżne – w atrakcyjnej cenie i w pasujących na nas rozmiarach. Tego dnia chcieliśmy odhaczyć kolejną pozycję z listy potrzebnego sprzętu. Niewiele myśląc, zapakowaliśmy rakiety do koszyka. Dopiero gdy wieczorem na spokojnie podsumowaliśmy nasze łupy

z tego weekendu, zaczęliśmy się zastanawiać, w jaki sposób spakujemy rakiety. W którymś momencie zadaliśmy sobie głośno niby oczywiste, acz kluczowe pytanie: czy rakiety śnieżne rzeczywiście są nam niezbędne? To samo pytanie wystąpiło organizatorom ultramaratonów na Syberii i w Kalabrii. Obaj niemalże w tym samym momencie odpowiedzieli, że spokojnie damy radę bez rakiet i że w zasadzie są niepotrzebne. Do tej pory zastanawiamy się, skąd przyszła nam do głowy koncepcja zaopatrzenia się w ten sprzęt. Następnego dnia skorzystaliśmy z konsumenckiego prawa do zwrotu towaru, a za „oszczędzone” pieniądze mogliśmy kupić kolejne elementy wyposażenia.

Prawdziwym wyzwaniem był zakup pułek – sań, w których mieliśmy transportować

nasz bagaż. Wynajem sań na miejscu nie wchodził w grę – musieliśmy przywieźć je ze sobą. Myślicie, że kupno pulek to taka prosta sprawa? W Internecie udało nam się trafić na zaledwie dwóch dystrybutorów tego typu sań, ze Skandynawii. Próbowaliśmy nawet znaleźć w Polsce kogoś, kto zwyczajnie skonstruowałby dla nas takie sanie, ale nikt nie chciał się podjąć takiego zadania. Dostawca z Finlandii wydał się całkiem sensowny, a jego cena względnie racjonalna. Wynegocjowaliśmy z nim niewielką zniżkę (za zakup dwóch pulek naraz) i po dwóch tygodniach fińskie pulki były naszą własnością. No cóż, każdy ma jakieś zachcianki.

Takie warunki to nie żarty – stwierdziliśmy.

Odpowiednie przygotowanie logistyczne to podstawa.

Osobną kwestię, którą należało zaplanować, stanowił zapas żywności na czas wyprawy. Wszystko, co miało w sobie dużo wody, odpadało – mróz sięgający kilkudziesięciu stopni Celsjusza zamieniłby to w kamień.

Odwiedziliśmy wiele sklepów turystycznych, survivalowych i z paczkami żywnościowymi dla żołnierzy. Puszki grochu z mięsem, lecz z kiełbasą czy chleb

w puszcze przegrały jednak z praktyczną żywnością liofilizowaną – wystarczyło dodać do niej odrobinę wody, aby po chwili otrzymać pełnowartościowy posiłek. Kupiliśmy też całkiem sporo czekolady i batonów o obniżonej zawartości wody. Były strasznie drogie, ale miały dać radę w starciu z ostrym mrozem.

Zastanawialiśmy się także nad zakupem broni hukowej na wypadek ataku dzikich zwierząt (ale szybko się zreflektowaliśmy, że nie będziemy w stanie przetransportować jej przez granicę). W przewodnikach po okolicach Bajkału wyczytaliśmy, że niedźwiedzie, wilki i rosomaki nie należą w tym rejonie do rzadkości. Dziwnie to zabrzmiało, ale dowiedzieliśmy się, że w tym czasie na szczęście niedźwiedzie powinny jeszcze spać snem zimowym, a wilki prawdopodobnie w całości zostały już wytępione przez kłusowników. Pozostawały jedynie rosomaki – szybkie,

zwinne, sprawnie poruszające się po drzewach. Przeczytałem, że głodny rosomak jest w stanie zapolować na łosia – a co dopiero na dwoje turystów z Polski. Do tej pory mam przed oczyma zdjęcia rosomaków, które wyszukałem w Internecie. Dla mnie wyglądały jak istoty z innej galaktyki (spokojnie mogłyby posłużyć jako inspiracja dla scenarzystów *Gwiezdnych wojen*), niczym krzyżówka niedźwiedzia i wilka. Ostatecznie zrezygnowaliśmy z akcesoriów do odstraszenia dzikiej zwierzyny, niemniej perspektywa spotkania z rosomakiem spędzała mi sen z powiek.



Balon wyznaczający linię startu Biegu Trzech Szczytów

BIEG TRZECH SZCZYTÓW W ZAŚNIEŻONEJ ITALII

Pod koniec stycznia 2018 roku (miesiąc przed startem ultramaratonu po Bajkale) byliśmy w drodze do Kalabrii. Lecieliśmy na wielkie lotnisko Lamezia Terme, na samym czubku Półwyspu Apenińskiego. Lotnisko czasy swojej świetności miało już za sobą (jeśli kiedykolwiek takie miało). Trzeba jednak pamiętać, że Kalabria to wciąż jeden z najbiedniejszych regionów we Włoszech. Do miejscowości Camigliatello Silano, gdzie zarezerwowaliśmy noclegi i w której wyznaczono start oraz metę wyścigu, mieliśmy ponad 100 kilometrów od lotniska.

W oczekiwaniu na umówionego wcześniej kierowcę zastanawiałem się, jak to możliwe, że podczas biegu będziemy musieli zмагаć

się ze śniegiem i zimnem, skoro termometr na lotnisku w Lamezia Terme wskazywał ponad 20 stopni Celsjusza. Gdy już zaczęliśmy się niecierpliwie, podeszło do nas dwóch mężczyzn. Jeden z nich, Marcello, był bardzo charakterystyczny (do dziś mam jego sylwetkę przed oczyma) – pulchny, z kruczymi włosami i ciemnymi oczami. Był ubrany w beżową zimową kurtkę, ręce miał schowane w kieszeniach. Nie wiem, czy to z powodu bliskości Sycylii (oddalonej zaledwie o 200 kilometrów), ale w moim odczuciu Marcello wyglądał zupełnie jak kompan lub członek grupy Vita Corleone z *Ojca chrzestnego* (dobrze, że w kieszeni kurtki nie trzymał pistoletu, a jedynie kluczyki do swojego wiekowego busa).

– Artur? – zagadnął krótko.

Kiwnąłem głową. Przywitaliśmy się, po czym wskazał na swój wysłużony pojazd. Okazało się, że w aucie siedziało już dwoje innych uczestników biegu Sila3Vette oraz wyprawy nad Bajkał: Daniele i Ingrid. Przywitaliśmy się serdecznie i zaczęliśmy naszą nieco ponad godzinną podróż do Camigliatello Silano. Trasę pokonaliśmy bardzo sprawnie. Marcello chciał chyba pokazać, że jest królem szos, więc nie oszczędzał swojego samochodu, czym wprawiał mnie w stan niepokoju – nie miałem pewności, czy zawieszenie i opony wytrzymają starcie z nierówną i krętą nawierzchnią Autostrady

Park Narodowy Sila – po którego terenie tej nocy mieliśmy przebiec ponad 40 kilometrów – słynie właśnie z wolno żyjących wilków.

Słońca. W zasadzie stale się wspinaliśmy, zatem temperatura na zewnątrz spadała wraz z naszym zbliżaniem się do celu.

Marcello wysadził nas przed naszym hotelem – jedynym w sensownej lokalizacji i cenie, jaki znaleźliśmy. Hotel, podobnie jak lotnisko w Kalabrii, nie był pierwszej świeżości. W pokoju było lodowato – nie wiem, czy przypadkiem nie zimniej niż na zewnątrz. Włączyliśmy ogrzewanie na pełny regulator i postanowiliśmy przejść się po zmroku po zaspanej miejscowości – doskwierał nam już solidny głód. Na ulicy nie było żywego ducha. Gdy już straciliśmy nadzieję, że znajdziemy jakiegokolwiek miejsce,

gdzie moglibyśmy coś zjeść, zobaczyliśmy rozświetloną witrynę baru o nazwie Steak House. Co prawda mieliśmy ochotę na włoską kuchnię, ale na bezrybiu i rak ryba – nie mogliśmy kręcić nosem. Podeszliśmy bliżej i zauważyliśmy, że wewnątrz przy stole siedzi organizator biegu Giuseppe (wiedzieliśmy, jak wygląda, dzięki zdjęciom z Facebooka) otoczony grupą znajomych. Judyta stwierdziła, że koniecznie musimy wejść do środka, żeby się przywitać.

To była świetna decyzja, bo tego wieczoru poznaliśmy większość uczestników jutrzejszego biegu, z którymi mieliśmy później dzielić także trudy drogi przez Bajkał. Zjedliśmy wspólnie absolutnie niesamowitą kolację. Zostaliśmy ugostzeni wykwinnymi serami, wolno dojrzewającymi szynkami,

jajkami z truflami, różnego typu makaronami. Byliśmy tylko źli na siebie, że w oczekiwaniu na te smakołyki pochłonęliśmy duże ilości bagietki z oliwą, czym wprowadziliśmy Włochów w osłupienie. Dopiero później zrozumieliśmy ich zdziwienie.

Z przykrością stwierdziliśmy także, że kontakt z naszą nową grupą włoskich znajomych będzie bardzo utrudniony – nikt nie mówił po angielsku. Dwa czy trzy razy podszedł do nas Giuseppe i serdecznie nas przytulił, jednocześnie mówiąc: „Arturro... boxing”. Giuseppe pamiętał, że trenuję sport walki, ale zmęczony trudami organizacji biegu prawdopodobnie pomylił judo z boksem. Robiłem dobrą minę do złej gry – ciężko na migi wyjaśnić różnicę między tymi dwiema dyscyplinami.

Szczęście jednak się do nas uśmiechnęło. Podczas kolacji poznaliśmy Konrada – Polaka, który od kilku lat mieszkał z rodziną w północnych Włoszech, a teraz zajmował się kręceniem filmów i dokumentował biegi oraz inne wydarzenia sportowe. Konrad stał się naszym tłumaczem – bez jego pomocy nie rozumielibyśmy zawiłości w organizacji imprezy (a Włosi potrafią sobie utrudnić życie). W podziękę za pomoc otrzymał od nas czekoladę Wedla, która wywołała szczery uśmiech na jego twarzy. Stwierdziliśmy, że chyba przed wyjazdem do Rosji będziemy musieli przejść kurs włoskiego. Z pełnymi brzuchami i po zapoznaniu licznej grupy Włochów udaliśmy się do naszego pokoju hotelowego.

Następnego dnia rano stawiliśmy się w zatłoczonym i gwarным biurze organiza-

tora Sila3Vette. Z pomocą Konrada sprawnie załatwiliśmy formalności i odebraliśmy pakiet startowy. Start nocnego biegu zaplanowano na godzinę 17 (i jak to we Włoszech było solidne opóźnienie), dlatego cały czas, jaki nam pozostał, spędziliśmy na zwiedzaniu okolic Camigliatello Silano. Przeszliśmy także część trasy – chcieliśmy się z nią trochę oswoić, tak aby nie zgubić się po zmroku.

Ku naszemu zdziwieniu miejscowość za dnia w ogóle nie przypominała tej, jaką wędrowaliśmy poprzedniego dnia wieczorem. Była gwarna i pełna ludzi, z mnóstwem otwartych sklepów z lokalnymi smakołykami i sklepików z pamiątkami. Nasze zaciekawienie, a następnie niepokój wzbudził fakt, że wśród licznych tandetnych pamiątek na witrynach sklepowych bardzo często pojawiały



Biuro zawodów Biegu Trzech Szczytów w Camigliatello Silano



W pierwszym checkpointie na trasie Biegu Trzech Szczytów

się motyw wilka. Maskotki, zdjęcia, plakaty, magnesiki, figurki czy rzeźby wilka można było zobaczyć dosłownie wszędzie. Okazało się, że Park Narodowy Siła – po którego terenie tej nocy mieliśmy przebiec ponad 40 kilometrów – słynie właśnie z wolno żyjących wilków. To dodało trochę pikanterii naszemu górskiemu ultramaratonowi zbliżającemu się wielkimi krokami.

Wieczorem na linii startu stało się około 75 świetnie wyposażonych i przygotowanych śmiałków. Część z nich zamierzała pokonać trasę pieszo (jak my), część na fat bike'ach, a część na biegówkach. Pierwsze kilometry były bardzo zabawne – poruszaliśmy się w otoczeniu kilkudziesięciu uczestników. W mrokach lasów Parku Narodowego Siła widać było jedynie dynamicznie poruszają-

ce się światła czołówek zawodników. Po kilku kilometrach zaznaczyły się już pewne dysproporcje pomiędzy uczestnikami. Ponieważ pierwsze 10 kilometrów stanowiły strome podbiegi, rowery i biegówki zostały w tyle. Współczułem korzystającym z nich zawodnikom, że pchali się na taką trasę ze swoim sprzętem. Praca, jaką włożyli w wytaszczenie tutaj nart i rowerów, wydawała się naprawdę wycieńczająca.

Na trasie organizator wyznaczył trzy checkpointy, czyli miejsca, w których należało się zameldować i wpisać czas dotarcia do postoju. W każdym z takich miejsc można było także podjąć decyzję o wycofaniu się z rywalizacji, ale przede wszystkim chwilę odpocząć i się posilić. Dwa z trzech checkpointów zlokalizowano w schroniskach górskich.

Ostatni w leśniczówce należącej do kolegi Giuseppe.

Pełni wigoru po wizycie w pierwszym checkpointie ruszyliśmy dalej bez odpoczynku. Byliśmy mniej więcej w połowie trasy. Największe harpagany już nas znacznie wyprzedziły, a osoby pokonujące trasę spokojnie były za nami. Przemierzając samotnie szeroką nartostradę w okolicach dwudziestego kilometra, nagle usłyszeliśmy za sobą spory hałas – okazało się, że rowerzyści i narciarze właśnie złapali wiatr w żagle i zaczęli nadrabiać stratę z pierwszych kilometrów. Wyprzedzili wszystkich piechurów ze sporą prędkością – zobaczyliśmy ich dopiero po kilku godzinach na mecie.

Nasze dalsze zmagania na trasie przebiegły sprawnie. Na drugim (najwyżej położo-

nym) checkpointie spotkaliśmy Konrada kręcącego ujęcia do filmiku promującego wyścig. Zaktualizował nasze informacje, zdradził nam, kto i kiedy biegł przed nami oraz w jakiej kondycji byli konkurenci. Zjedliśmy kawałek pizzy, napiliśmy się i ruszyliśmy na ostatni, liczący niemalże 15 kilometrów odcinek drogi. Ten fragment pokonaliśmy praktycznie sami. Na mniej więcej dwudziestym piątym kilometrze trasa wyścigu rozdzielała się na dwie w zależności od wybranego dystansu (40 lub 80 kilometrów). My od początku planowaliśmy krótszą wersję, natomiast większość uczestników nastawiła się na kilkunastogodzinny wysiłek, więc wybrała ścieżkę liczącą 80 kilometrów.

Dalsza część wyścigu była dosyć ciężka, zmęczenie dało się nam we znaki. Ja coraz

częściej zapadałem się w nieubity śnieg, a czołówki działały coraz słabiej, co ograniczało nam widoczność. Raz na jakiś czas robiliśmy przerwy, żeby uzupełnić płyny. Około trzydziestego trzeciego kilometra zrobiliśmy krótki postój na środku ścieżki otoczeni gęstym, ciemnym lasem. Judyta niespodziewanie wykrzyknęła:

– Co to było?!

Ja niczego nie zauważyłem i nie usłyszałem, ale Judyta była pewna, że coś za nami przebiegło. Do tej pory nie wiemy, czy rzeczywiście „coś” nas minęło, czy był to wytwór naszej wyobraźni – niemniej przez kolejne kilometry dużo uważniej przyglądaliśmy się naszemu

W mrokach lasów Parku Narodowego Sila widać było jedynie dynamicznie poruszające się światła czołówek zawodników.

otoczeniu, szukając w ciemnościach lasów parku Sila „innych” uczestników biegu (ciągle mieliśmy przed oczami wszystkie „pamiątki z wilkiem”). Wyobrażenia coraz częściej płatała nam figle. Po kilku godzinach wysiłku i przy pogarszającym się oświetleniu kamienie i drzewa w ciemnościach przybierały kształty dzikich zwierząt.

Trasę wyścigu oznaczono odblaskowymi tasiemkami i tabliczkami, dobrze widocznymi w świetle czołówki. Niestety organizator nie pofatygował się, żeby tak samo oznaczyć ostatnich 10 kilometrów. Trochę gubiliśmy trasę, nawigując GPS-em w komórce. Gdy już mieliśmy zaledwie kilometr

do ostatniego, trzeciego checkpointu i poczu-
liśmy przyływ sił, nagle na naszej drodze po-
jawił się szeroki na kilkanaście metrów, płytki
(tak nam się przynajmniej wydawało) górski
strumień.

– To chyba jakieś żarty! – wrzasnąłem.

Próżno szukaliśmy wzrokiem jakiegoś
mostka czy chociaż kamieni, po których mo-
glibyśmy przebyć rzekę suchą stopą. Kilka ra-
zy sprawdziliśmy na GPS-ie, czy nadal jeste-
śmy na trasie biegu, ale nie było mowy o po-
myłce. Trasa rzeczywiście była poprowadzo-
na tędy. Było tuż po północy, na termometrze
około minus pięciu stopni. Nie zamierzali-
śmy jednak wywieszać białej flagi i wracać
do schroniska na drugim checkpoincie. Szyb-
ko podjęliśmy męską decyzję (gdybyśmy
tego nie zrobili szybko, to zapewne stalibyś-

my tam do teraz). Zdjęliśmy buty i skarpetki,
podwinęliśmy spodnie i wykrzykując niepar-
lamentarne słowa z zimna i bólu od ostrych
kamieni na dnie rzeki, przeszliśmy na drugą
stronę strumienia. Przez chwilę nie czułem
stóp. Wycierałem je liśćmi i mchem, żeby się
trochę osuszyć. Na szczęście checkpoint był
blisko i wkrótce przy ciepłym kominku, posi-
lając się ciastem zrobionym przez gospodar-
za, zdołaliśmy doprowadzić nasze ubrania
do stanu używalności.

Gdy regenerowaliśmy się w leśniczówce,
do checkpointu przybyła czteroosobowa gru-
pa naszych współzawodników. Jako że rywa-
lizację mamy we krwi, szybko się spakowa-
liśmy i piorunem wylecieliśmy z ostatniego
postoju, nie dając się prześcignąć napotka-
nym zawodnikom.



Tabliczki odblaskowe, które nocą ułatwiały nam orientację na trasie biegu



Pamiątkowe zdjęcie podczas Biegu Trzech Szczytów w Camigliatello Silano

Chwilę po drugiej nad ranem zakończyliśmy bieg. Linie mety przebiegaliśmy samotnie. Większość uczestników była jeszcze na trasie, pokonując dystans prawie 80 kilometrów. W biurze zawodów spotkaliśmy drzemiących przedstawicieli organizatora. Ukroiliśmy sobie po kawałku tortu z logo biegu, który należał się kończącym bieg jako uzupełnienie kalorii. Tego dnia nie rezerwowaliśmy noclegu – zdecydowaliśmy, że resztę nocy spędzimy na sali gimnastycznej przeznaczonej dla uczestników biegu.

Tym sposobem zdaliśmy „egzamin” i zostaliśmy dopuszczeni do startu w ultrama-

ratonie po Bajkale. Następnego dnia główna ulica w Camigliatello Silano została zamknięta i rozpoczęła się wielka fiesta. Bawiło się całe miasto. My także daliśmy się ponieść tej przyjemnej atmosferze – przy muzyce na żywo braliśmy udział w pokazie wyrobu i w degustacji mozzarelli oraz cuddru-rieddri – lokalnego przysmaku smażonego w głębokim tłuszczu, trochę przypominającego nasze pączki.

Żegnając się z Riccardem, zapłaciliśmy opłatę startową na Black Baikal Race. Za niecały miesiąc mieliśmy spotkać się na Syberii w miejscowości Listwianka.



Kuchenka gazowa zdała egzamin podczas testów w temperaturze minus 15 stopni

OSTATNIA PROSTA

Po powrocie z Włoch byliśmy względnie zadowoleni – sprzęt, który zakupiliśmy, zdał egzamin i poznaliśmy innych uczestników Black Baikal Race. Wkrótce otrzymaliśmy wiadomość od Riccarda, że naszym „opiekunem” podczas pobytu na Syberii będzie Ilja. Ilja jest z pochodzenia Rosjaninem, który wychował się w Polsce. Włada biegle pięcioma językami. Zajmuje się między innymi organizowaniem wyjazdów na Syberię. Jego rodzina mieszka nad Bajkałem, gdzie prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Ilja spędził dzieciństwo z rodzicami w Polsce, studiował w Niemczech, a obecnie wspólnie z dziewczyną Włoszką mieszka w Bolonii, wyjeżdżając na kilka miesięcy w roku nad Bajkał, aby pil-

nować rodzinnego interesu. Dla nas to była wspaniała wiadomość – wreszcie mogliśmy się z kimś porozumieć, i to w naszym ojczystym języku. Postanowiliśmy nie pytać Ilji o błahe sprawy, ale korzystać z jego pomocy jako ze skarbnicy wiedzy tylko w kwestiach fundamentalnych i krytycznych.

Niestety zaraz po powrocie z Włoch całkowicie się rozłożyłem. Zacząłem dosyć poważnie chorować i musiałem przyjmować antybiotyk za antybiotykiem. Fakt, że nie leczyłem choroby w domu, tylko jak gdyby nigdy nic chodziłem do pracy, na pewno nie pomógł mi w szybkim powrocie do zdrowia. Zaraz po wyleczeniu jednej infekcji złapałem kolejną – zapalenie ucha.

„Kumulacja!” – pomyślałem. To zdecydowanie zaburzyło nasz plan treningowy w ostatnim miesiącu przed wylotem do Irkucka.

Zabrzmiało to może trochę dziwnie, ale cieszyliśmy się z tego, że pogoda pod koniec lutego w Polsce była bardzo mroźna. Na kilkanaście dni przed naszym wyjazdem na Syberię temperatura spadała do około 15 kreszek poniżej zera. Dla nas były to idealne temperatury, aby w delikatny sposób oswoić się z warunkami atmosferycznymi, jakie mieliśmy zastać po przyjeździe do Irkucka. Spadło także trochę śniegu.

Bardzo zależało nam na trenowaniu marszu z pulkami – saniami, w których mieliśmy

Najlepszą nauką, jaką wyciągnęliśmy z przygotowań, był odpowiedni dobór ubrań do panujących warunków pogodowych.

trzymać cały nasz bagaż. Sam proces przyczepiania pulek do uprząży nie należał do najprostszych, opanowaliśmy go dopiero po kilkudziesięciu próbach. Chód z obciążonymi pulkami wiązał się z koniecznością la-

wirowania i odpowiedniego balansowania ciałem, zwłaszcza przy wspinaczce lub zbieganiu z górki. Najtrudniejszym manewrem okazało się zawracanie – śmialiśmy się, że chyba nawet kierowcy TIR-ów robią

to z większą gracją niż my z przyczepionymi saniami.

Największym wyzwaniem treningowym, ale też najlepszą nauką, jaką wyciągnęliśmy z przygotowań, był odpowiedni dobór ubrań

do panujących warunków pogodowych. Podczas treningów zazwyczaj ubierałem się zbyt ciepło. Na pierwszych kilometrach to nie dośkwierało, jednak po kilkudziesięciu minutach marszu byłem cały spocony. Zmoczenie ubrania w takiej temperaturze to prawdziwy problem. Puch, który ma chronić przed

zimnem, traci swoje właściwości ocieplające. Człowiek jest zatem mokry i zaczyna odczuwać chłód.

Pomimo różnych perturbacji na kilka dni przed wyjazdem czuliśmy, że zrobiliśmy, co w naszej mocy, aby przygotować się do zbliżającego się ultramaratonu.



Nauka chodzenia z pulkami po zamrzniętych stawkach w okolicy Piaseczna pod Warszawą



Już sam chód z pulkami nie był łatwy, nawet bez obciążenia, a co dopiero zawracanie czy schodzenie z pochyłości



Odbierana „na wariackich papierach” paczka z egzemplarzem próbnym mojej pierwszej książki

LOT PODNIEBNYM PEKAESEM

Wieczór 27 i poranek 28 lutego poświęciliśmy na pakowanie bagażu. Nie braliśmy walizek ani plecaków. Całość sprzętu wrzuciliśmy do pulek, które owinęliśmy karimatami (stanowiły swoiste zabezpieczenie, izolację sań), a następnie zabezpieczyliśmy wszystko czarną folią stretchową. Wyglądało to tak, jakbyśmy przewozili dwa duże, czarne kokony. Z przerażeniem stwierdziliśmy, że nasz bagaż waży po około 20 kilogramów. Sama waga może nie byłaby specjalnie imponująca, gdyby nie to, że mieliśmy to przetransportować siłą własnych mięśni w wyjątkowo niesprzyjających warunkach atmosferycznych.

Na lotnisko Okęcie dotarliśmy zamówionym busem (do mniejszego samochodu nie

zmieściłyby się nasze pulki – każda z nich długa na 1,7 metra). Odprawa na lotnisku przebiegła bardzo sprawnie – zostaliśmy skierowani do nadania bagażu ponadwymiarowego, ale ku naszej radości przewoźnik, z którego korzystaliśmy, o ciekawej nazwie Ural Airlines, nie zakwalifikował naszego bagażu do dopłaty (a byliśmy już pogodzeni z koniecznością zapłacenia ekstra za nadbagaż).

Po odprawie bagażu dostałem telefon od kuriera. Do wylotu mieliśmy dwie godziny. Kurier poinformował mnie, że właśnie dostarczył do mieszkania na warszawskich Biełanach przesyłkę. To była bardzo ważna paczka, na którą czekałem do ostatniej minuty

przed wyjazdem na Okęcie. W środku znajdował się egzemplarz próbny mojego książkowego debiutu *W judodze na rowerze*. Bardzo chciałem odebrać przesyłkę, bo w razie wychwycenia jakichś błędów miałem jeszcze kilka dni na wniesienie uwag przed drukiem całej partii książek. Nie było czasu do stracenia. Piorunem pobiegliśmy do stanowiska z taksówkami. (Nie dostaliśmy zadyszki. „To dobry znak – pomyślałem. – Jesteśmy w formie”). Kierowca był zadowolony – złapał kurs w tę i z powrotem przez całe miasto. Poinformowałem o całej akcji panią Paulinę, redagującą tekst mojej książki. Na SMS-a, w którym napisałem, że zdecydowaliśmy się na po-

Korytarz między siedzeniami po kilku godzinach lotu wyglądał jak wnętrze pekaesu relacji Grójec – Warszawa w poniedziałek rano.

wrót na Bielany, dostałem odpowiedź, która mnie nieco rozbawiła: „To superszalone. Trzymam kciuki”.

Po niemalże godzinie spędzonej w taksówce na nerwowym śledzeniu upływających sekund wróciliśmy szczęśliwie z paczką do hali odlotów na Okęcie. Pierwszy wyścig z czasem podczas tej wyprawy zakończył się po naszej myśli – zdążyliśmy na samolot.

Podróż do Irkucka trwała kilkanaście godzin, lecieliśmy z przesiadką w Moskwie. Lot nie należał do komfortowych. Mimo że rejs z Moskwy do Irkucka był naprawdę długi, samolot przypominał bardziej maszyny latające na krótkich dystansach: zero miejsca

na nogi, pasażer na pasażerze, brak komputerów pokładowych. Korytarz między siedzeniami po kilku godzinach lotu wyglądał jak wnętrze pekaesu relacji Grójec – Warszawa w poniedziałek rano. Był tak zapchany ludźmi, którzy wstali, żeby rozprostować nogi, że absolutnie nie dało się tamtędy przejść.

Wykorzystaliśmy czas lotu na lekturę egzemplarza próbnego mojej książki, a przede wszystkim na ponowną analizę programu ultramaratonu, który zbliżał się wielkimi krokami. Trasę wyprawy mieliśmy wydrukowaną na kartkach zabezpieczonych w mapniku, a także wgraną w komórkach i GPS-ie.



TRASA ULTRAMARATONU

Punktem startowym ultramaratonu była Listwianka – kurort wypoczynkowy nad Bajkałem. W tej miejscowości znajdowało się nieformalne biuro zawodów i tam też zebrała się duża część uczestników na kilka dni przed startem, aby się zaaklimatyzować.

Trasa ultramaratonu biegła wzdłuż lewego brzegu Bajkału. Mieliśmy pokonać dystans między dwoma najbardziej znanymi turystycznymi miejscowościami nad Bajkałem: Listwianką i Chużyrem. Łącznie dawało to prawie 400 kilometrów. Trasa podzielona była na pięć etapów. Na końcu każdego z nich zlokalizowany był checkpoint.

Start całego wydarzenia zaplanowano na piątek 2 marca, na godzinę 10 rano. Sposób

pokonania trasy leżał już w gestii uczestników – mogli zatrzymywać się na odpoczynek lub na noc w każdym z checkpointów, a mogli też iść bez przerwy. Organizator miał zapewnić nocleg w każdym checkpointie, jednak decyzja o tym, czy z niego skorzystać, zależała wyłącznie od planów i dyspozycji uczestników.

Wiedzieliśmy, że w grupie są harpagany, które pogardzą noclegiem i będą starały się ukończyć dystans ultramaratonu jak najszybciej. Riccardo zapewniał nas jednak, że przynajmniej trzy osoby (nieco starsze, ale doświadczone w boju) podobnie jak my chcą skorzystać ze wszystkich noclegów w cywilizowanych warunkach, a nocleg pod

ETAPY TRASY

Pierwotny plan biegu (bo jak się później okazało, ten kilkakrotnie ulegał zmianie) zakładał, iż do pokonania będzie pięć etapów:

- ♦ I etap – 55 kilometrów (Listwianka – Bolszoje Gołoustnoje),
- ♦ II etap – 85 kilometrów (Bolszoje Gołoustnoje – Buguldejka),
- ♦ III etap – 90 kilometrów (Buguldejka – Chernorud),
- ♦ IV etap – 65 kilometrów (Chernorud – Chużyr),
- ♦ V etap – 75 kilometrów (dokoła wyspy Olchon).

chmurką (w zasadzie należałoby chyba powiedzieć: „na lodzie”) traktują jako ostateczność. To z nimi mieliśmy dzielić trudy wyprawy.

Ostatecznie wszystkich uczestników Black Baikal Race 2018 miało być 13. Trójka zamierzała pokonać ten dystans na fat bike’ach, reszta pieszo.



DO CZYTELNIKA

Czytelniku! Dziękuję za poświęcenie kilku chwil na zapoznanie się z naszą syberyjską przygodą. Będzie mi niezmiernie miło, jeśli zostawisz swoją ocenę, komentarz lub uwagę dotyczącą książki na portalu www.lubimyczytac.pl. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy – na początek na kartach kolejnej książki opisującej nasze następne wyzwanie podróżnicze.

Bon voyage!
Artur

SPIS TREŚCI

7	Od autora	91	Z wizytą u Buriatów – ruska bania, hiszpańska uczta i pierwsze ofiary mrozów
9	W poszukiwaniu nowego wyzwania	111	Wołodia, jak tam na dnie? Ryby są?
17	Jak przygotować się na syberyjskie mrozy	123	Irkuck i luksusy u Jaggera
25	Bieg Trzech Szczytów w zaśnieżonej Italii	131	Bajkał z okna pociągu
39	Ostatnia prosta	137	W stepie szerokim
45	Lot podniebnym pekaesem	155	Tam, gdzie spotykają się Lenin z Marksem
49	Trasa ultramaratonu	161	Szamański Olchon
51	Włoski chaos w Listwiance	173	Trzęsienie
63	Gdy dzień startu nastanie, szybko szykuj sanie	191	Ostatnie chwile
71	Pierwsze kroki nad głębinami	198	Do czytelnika
83	Aiuto!		

WALKĘ MAMY WE KRWI

JUDO – SPORT WALKI Z RAKIEM

to fundacja powołana przez pasjonatów judo, którym nie jest obojętny los dzieci chorych na nowotwory. Zajmujemy się zbiórką krwi podczas imprez związanych z judo. W trakcie jednego turnieju przez hale przewija się około 400 potencjalnych dawców. Jeśli tylko 10% z nich odda krew, to mamy aż 18 l krwi, która może uratować niejedno życie.

Do akcji może dołączyć każdy.
Zapewniamy posiłek regeneracyjny,
pamiątkową koszulkę i świetną atmosferę.

ARTUR GORZELAK
WSPIERA FUNDACJĘ
JUDO – SPORT WALKI
Z RAKIEM



JUDO- SPORT WALKI Z RAKIEM

Nasze starania nie odniosłyby sukcesu, gdyby nie dawcy,
ludzie dobrej woli, judocy, sponsorzy i partnerzy.

Zachęcamy do podzielenia się życiodajnym
płynem z potrzebującymi.

Jeśli chcesz dołączyć do akcji lub wspomóc działania
fundacji, skontaktuj się z nami pod adresem:

judosportwalkizrakiem@gmail.com



ZNAJDŹ NAS NA FACEBOOKU
JUDO – SPORT WALKI Z RAKIEM

www.judosportwalkizrakiem.pl

Jeżeli lubisz sport i podróże,
cenisz reportaże i odważne przedsięwzięcia,
przeczytaj poprzednią książkę Artura Gorzelaka:

„W judodze na rowerze. Japońsko-koreańska
przygoda na dwóch kółkach”



PIERWSZY REPORTAŻ
PRZYGODOWO-SPORTOWY O JUDO

KSIĄŻKA DOSTĘPNA W SPRZEDAŻY!

WIĘCEJ INFORMACJI NA:

 www.facebook.pl/wjudodzenarowerze

 www.wjudodzenarowerze.pl





Pośrednictwo wizowe do wszystkich krajów bez wychodzenia z domu

- proste wnioski wizowe on-line w języku polskim
- możliwość zamówienia kuriera w dwie strony
- dogodne metody płatności
- atrakcyjne ubezpieczenia turystyczne

www.aina.pl – według alexa.com
najpopularniejsza strona
pośrednictwa wizowego w Polsce

Nie lataj za wizami



tel. 12 422 22 09

tel. 22 828 13 04

 /ainatravel

 @aina_pl

www.facebook.pl/wjudodzenarowerze
www.wjudodzenarowerze.pl

